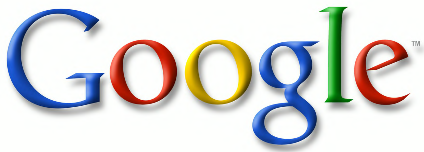
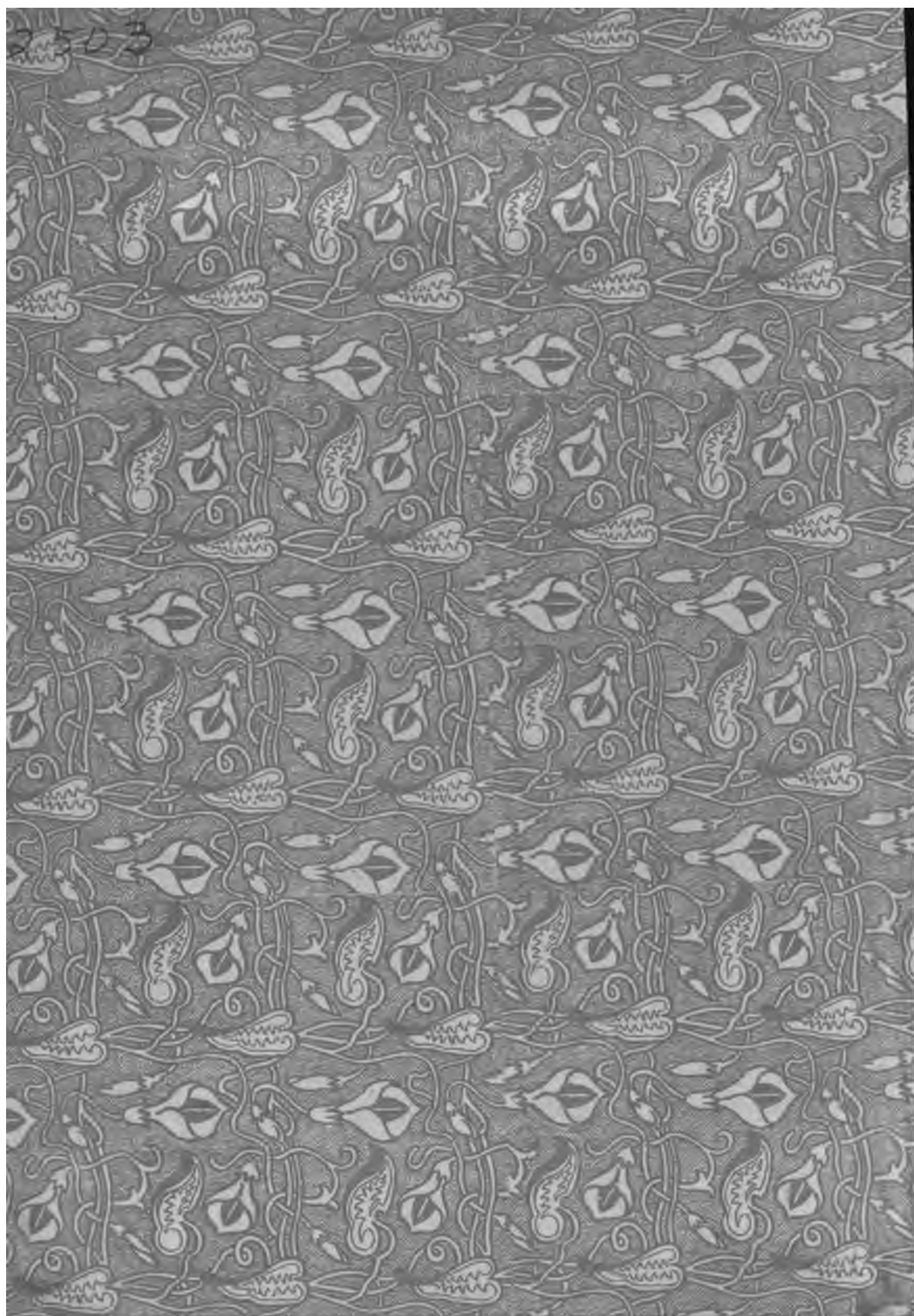



12503
HN 679T 5



GINĄCEMU ŚWIATU

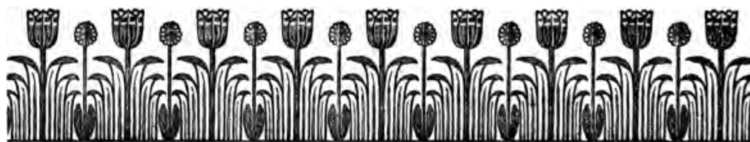
GINĄCEMU

ŚWIATU: DIES IRAE ⚜ SALOME ⚜ ŚWIĘTY BOŻE ŚWIĘTY MOCNY ⚜ ⚜ MOJA PIEŚŃ WIECZORNA ⚜ NAPISAŁ JAN KASPROWICZ ⚜ ⚜ ⚜ ⚜ ⚜ ⚜ ⚜



WE LWOWIE NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO 1902

DIES IRAE



Trąba dziwny dźwięk rozsieje,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście
na Sędziego straszne przyjście,
by świadectwo dać Psalmiście...

A ty, psalmisto Pański, nastrój harfę swoją
już na ostatni ton!

Grzech krwią czarną dusze plami...
Bez obrońcy staniem sami —
któż zlituje się nad nami?

Kyrje elejson!...
O Boże! Ty bądź naszą łaską i obroną!
Kyrje elejson!

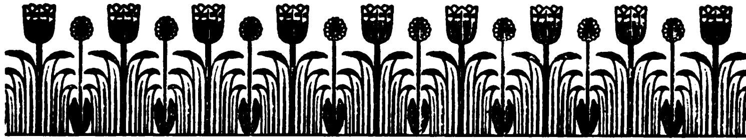
O Głowo, owinięta cierniową koroną,
gasnącem wieki wieków spojrzyj na nas okiem!



O spojrzyj na nas z tej głuszy,
która swem tchnieniem głębokiem
ogarnia światów bezmiary,
a którą ty wypełniasz swych bolów ogromem,
o Głowo, owinięta cierniową koroną.
Żałobna drogo nieochybnej kary,
broczącej we łzach i przy jęków wtórze
w ten pozbawiony końca
Pańskiego gniewu dzień,
w którym w pożarach spokojnego słońca
szatańskim chichotem płoną
świeże, niezwiędłe róże
grzechu i winy!

Na ich purpurze
osiadł posępny i siny
tej Konieczności cień,
z której przepastnej głębiny,
z łona, pełnego niweczących tchnień,
nad boskiej woli złomem
wyrosły zabójcze kwiaty
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...

A Ewa jasnowłosa, matka gwiazd i ziemi,
upaja się ich wonią, schylona nad niemi.



Kyrje elejson!
Przez ciebie w proch nicości wracają Twe światy,
o Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!

Od Twego drzewa oderwany liść,
pędzi duch ludzki i naprzód i wstecz,
niby garść kurzu, porwana cyklonem:
przed nim i za nim płomienisty miecz
iskrzy się ostrzem czerwonem;
przed nim i za nim wstają z swych cmentarzy
upiory wieków, naznaczone sromem
winy i grzechu,
i klną, i bluźnią, i płaczą,
jęczą, i syczą, i dyszą
nieustającą rozpaczą,
od szaleńczego zamierają śmiechu
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień...

O Głowo, owinięta cierniową koroną,
Ty, co rozpierasz swej męki ogromem
pierś Konieczności! O Głowo,
której źrenice, jako dwie pochodnie
dogasające, płoną
nad krętą, pustą, nieskończoną drogą
i gasną, gasną, a zgasnąć nie mogą,

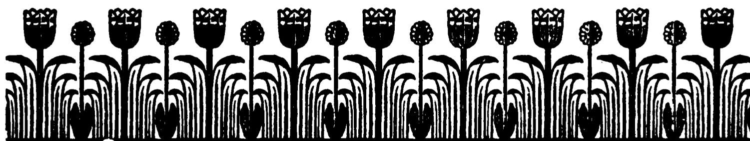


zawrzyj swe oczy nad nami,
nie patrz na boleść i zbrodnię!...

Jedno jest tylko w przestworzach widomem,
Jedno w zachodniej płomienieje zorzy
nad płomiennemi falami
wiekuistego Żywota
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,
by iść i iść i iść
poza granice duszy —
Jedno jest tylko Jednem,
grzmiącem miedzianą surmą archanioła
ponad pokoleń pokoleniem biednem
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:
wielki, wszechmocny Ból.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Niech łaska Twoja winy nam odpuści...
A ty swe skronie tul
do zimnych opok, do strzaskanych grani,
sterczących smutnie nad gardłem czeluści,
i płacz...

Surma jęczy, surma woła!

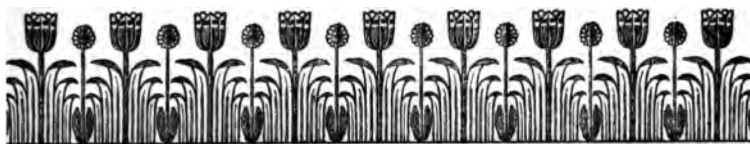


Giną w chmurach wirchów czoła;
wałem mżących mgieł dokoła
nieznany oddech miota,
jakieś potworne, dzikie kształty tworzy
i po dolinach rozpędza ich stada
i znów je skupia w przepastnej otchłani
i ku niebiosom wyrzuca ich kłąb
i w jakieś czarne rozsnuwa całuny
ten niewidzialny, dreszcz budzący Tkacz
i ciężką, mokrą tą przędzą pokrywa
wszystko, co jest...

O biada!...

Biada!... Pierś światów, przed chwilą tak żywa,
kona pod strasznym ciężarem...
Olbrzymy świerków padają strzaskane;
las się położył na skalisty zrąb;
węże kosówek, wyprężywszy ciała
w kurczach śmiertelnych, drętwieją bezwładne;
wrzos na granitów podścielisku szarem
spełznął na wieki;
kozice stromą oblepiły ścianę
i patrząc trwożnie w bezmierny, daleki,
w ten nieskończony chaos mgieł i cieni,
runęły w żlebny grób...





Rozkrzyżuj silne ramiona
i paznogciami wpij się w twardy głaz
i odwróć oczy od onej przestrzeni,
w której rozsadza horyzontów krańce
ta Głowa, w cierń uwieńczona!
Nie patrz, gdzie siadła jasnowłosa Ewa,
wygnana z Raju na wieczysty czas,
mająca zbrodnię u swych białych stóp,
wieczyście żarta płomienistą żądzą
winy i grzechu...

O duszo, pełna miłości,
a którą nieustanne szarpią niepokoje!
Pańskiego gniewu zwalił się już dzień!
Trombita Sądu nad tobą rozbrzmiewa
piorunną mocą archanielskich tchnień
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień...
Niechaj mnie sądzą,
niechaj mnie karzą —
tak, mnie, Adama, com na barki swoje
zabrał z Ogrodu to nadludzkie brzemię
przygniatającej winy
i wieki wieków pnę się z tym ciężarem
ku wiekuistej wyży,
i zbladłą nie śmiem odwrócić się twarzą
tam, ku tym zmrokom, co zaległy ziemię,



tam, ku piekielnej przełęczy,
na której siadła jasnowłosa Ewa
z padalcem grzechu u swych białych stóp...

Miliardy krzyży,
opromienione okręgami tęczy,
z padolnych Styksów powstają głębiny
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień.
I rosną, rosną w jakiś straszny las,
co wierzchołkami swych bolesnych drzew
przeszywa wszystkie mgły
i wszystkie blaski, które lśnią nad mgłami,
wypływające z Wszechmocy Istnienia.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Twojego gniewu nadszedł wielki czas,
głos już zagrzmiał hiobowy,
niebios walą się posowy,
z owiniętej cierniem Głowy
rzeką i morzem płynie ciepła krew,
w rzekę i morze krwi jej ból się zmienia...

W świątyni bożej zamilkł święty śpiew,
już się zasłona rozdarła na dwoje,
mur się już wali i skała już pęka...





A krew w tych morzach, w tych czerwonych rzekach
ścięła się w ciemny lód...

Kyrje elejson!

Ogromna, niesłychana, wiekuista męka,
z nieprzygasłemi oczyma,
milcząca, cicha, i, jak zmierzch, pobladła,
na wklęsłych skroniach siadła,
na wpółotwartych powiekach
i na wydętych piersiach tych olbrzymich ciał,
które do krzyży przybiła
nielitościwa Dłoń...
W kleszczach je swoich trzyma,
wpija się w kąty ust,
ramiona w kabłąk gnie
dręcząca wieki, niezmożona siła
i, jak śmiertelny szał,
zastygły, skamieniały w godzinie konania,
swoim ciężarem się wgniata
w zwiędłe, z przepasek odsłonięte brzuchy
i biodra spłaszcza, kolana rozsuwa
i pokrzywione, czarne palce nóg,
pokrytych siecią fioletowych żył,
w zamarłych kurczach wydłuża...



O grozo świata!
O widma, płynące w dal! —
W ten przestwór ślepy i głuchy,
w wilgotny, mgławy pył,
w te ciemne wnętrza bezsłonecznych brył —
w potworne gmachy nadszczytowych chmur!

Jeszcze nie zapiał kur,
a na piekielnej przełęczy,
nad dnem Styksowych otchłani,
siedzi, pod złomem niebotycznej grani,
pramatka Grzechu, jasnowłosa Ewa,
z gadziną zdrady u swych białych stóp.

Kyrje elejson!
Straszny przed nami otworzyłeś grób...

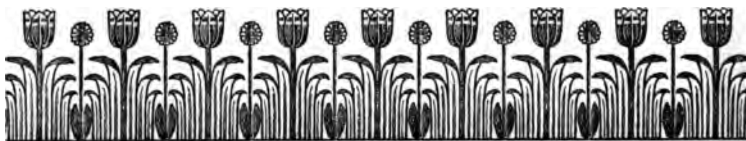
I płyną, płyną te milczące krzyże
razem z ruchomem, wielkiem trzęsawiskiem,
które swą rdzawą kałużą oblewa
męczeńskie drzewa.
Wszystko, co było dalekiem i blizkiem,
co opadało w niedojrzaną głąb
i w niedojrzane wznosiło się wyże,
teraz z tem wielkiem, grząskiem bagnem płynie
w Pańskiego gniewu ostatniej godzinie...



Kyrje elejson!
Światy pochłania nieprzebyty muł,
światy, od bożych odepchnięte bram.

A z pod korzeni jadowitych ziół,
z pod kęp sitowia i trzciny i traw,
z rowów, przepadlisk, wądolców i jam,
pokrytych opalowem szkliwem zgniłych wód,
zaczyna wypełzywać żmij skłębiony płód:
czarne pijawki, zielone jaszczury
wiją się naprzód wpław
i oplatają kręgami śliskiemi
męczeńskich krzyży smutne miliardy,
z bagnistej wyrosłe ziemi,
zapadłe w bagnisty kał...
I oto głowy swoje, dziwne, ludzkie głowy,
świecące trupim tłuszczem zżółkłych, łysych czół,
o szczękach, otulonych kłębem czarnych bród,
kładą na łonach tych pomarłych ciał...
I skośne, mętne oczy podnoszą do góry
ku ich schylonym skroniom...
I biodra opasawszy w lubieżnym uścisku,
zwilgotniałemi usty
szepcą im słowa rozpusty...

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!



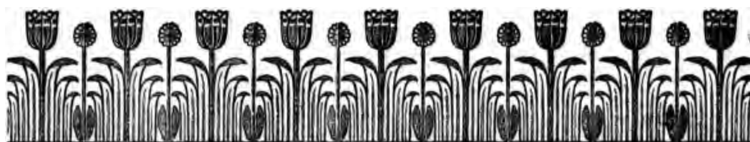
W królestwie Śmierci staje nagi szał.
W niedoścignionym błysku
tchnienie żywota przenika
to, co od wieków zagasło...
W Pańskiego gniewu ostatniej godzinie
krew świeża płynie,
z odrywających się od krzyży rąk,
z odrywających się od krzyży nóg...
I Głowa, owinięta cierniową koroną,
ta Głowa, która przestwór wypełnia bezbrzeżny,
podnosi ciężkie powieki i patrzy...

Jakaż to orgia dzika!
Jakiż to chaos mąk!
Kyrje elejson!
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem wojny świat się pali,
tłumy w krwawej brodzą fali!
Adamie potępiony, zwróć się z strasznych dróg!
Zawiśnij na swym krzyżu, sterczącym w niebiosa,
i nie patrz, gdzie w spokoju Ewa jasnowłosa,
piekielny zająwszy próg,
do rozpustnego przytula się gada!
O biada! —
Idą na się zmartwychwstali —
w oku mściwy skrzy się gniew,



rozpaczy kurcz wypręża rozchylone wargi,
kroplisty pot oblewa policzki zapadłe,
kudły włosów zlepia gęsta krew.
Z wyciem hyen, z rykiem lwów,
z psów szczekaniem, z rżeniem koni,
które cugli nie zaznały,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
poszarpane miecąc skargi,
pędzi tuman ludzkich żądz.
Ten upada, ten się broni,
temu dłoń ścisnęła krtań,
ten się w swojego brata paznogciami wrył,
a tamten zęby szczerzy, poszarpawszy ramię,
a ten olbrzyma ręką pochwycił dwie nogi
i rozdarł na dwie szczypy tułów Heraklowy
i w ciemną rzucił bezdeń, w Sądu straszną noc...
A z parą szklanych, martwych kul,
rozsadzających oczodoły,
biegnie bez końca, bez końca, bez końca,
gnając przed sobą bratobójczy huf,
niemy i głuchy Strach...

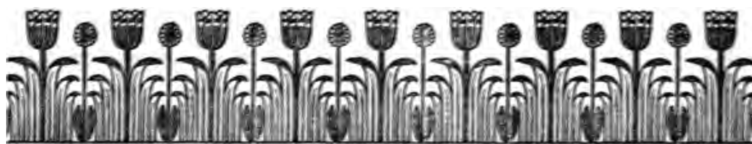
Zakryj błędne źrenice, ścigany Adamie!
Nad tobą tam! u szczytu
złocistowłosa Ewa!
Jej grzechu ciężar zgniótł cię, stanąłeś w pół drogi!



Zakryj błędne źrenice i na wieki wieków
rzuć się w przepastny żleb!...

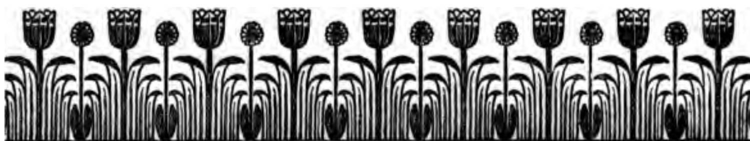
Enoch i Eliasz z proroczemi księgi
przyszli obwieścić szalonemu światu
Pańskiego gniewu moc.
Lecz nim zdołali rozedrzeć swój płaszcz,
nim głos wytrysnął z przepełnionych łon,
padli w zamęcie spadających gwiazd,
zgaśli, jak słońca,
na to wzniecone w przedpoczątkach bytu,
ażeby zgasły... Amen.

Szum się wielki stał dokoła,
kiedy surma archanioła
na ostatni Sąd zawoła.
Głos rozlega się ponury,
jak grzmot leci złotopióry,
z dolinami równa góry.
Drży strwożona światów dusza,
a on głębie mórz wysusza,
kości wieków w grobach rusza.
Gwiazdy z orbit wytrąciła
archanielskiej trąby siła,
już rozwarła się mogiła.



Idą na się zmartwychwstali,
ogniem buntu świat się pali,
tłumy w krwawej broczą fali.
Z wyciem hyen, z rykiem lwów,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc
pędzi tuman ludzkich żądz...

A On,
potężne Łono przepotężnych łon,
Jasność jasności,
Zmrok zmroków,
Łaska łask i gniewów Gniew,
stanął nad skonem Żywota
i, rękę położywszy na głowie Boleści,
na niezmierzonej, cierniem opasanej Głowie,
wypełniającej wszechświatów przestwory,
rozpoczął Sąd.
Biją pioruny,
a nad pioruny idzie Jego zew!
Ogrom bytu błyskawic wszystkich nie pomieści,
a Jego światłość złota
strzela nad pełnię, nad ogniste łuny
błyskawicowych potoków...
Czem jestem wobec Ciebie, ja, com z rajskich włości
zabrał z sobą, wygnaniec, tę łamiącą winę
i teraz ginę,



rozlubieżnionej Boleści,
a ona, wyprężywszy swe rozpustne ciało,
nienasyconem oddycha pragnieniem.
Kyrje elejson!
Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
rozpalonego Szatana,
co świat umierający okrył swoim cieniem,
a ona,
w zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
zamknęła w drżące go biodra,
w nabiegłe żądzą ramiona...
Kyrje elejson!

Mą duszę pali wieczna, niezamknięta rana!
Któż mi lekarstwo poda?
Ojcze rozpusty! Kyrje elejson.
Nic, co się stało pod sklepem niebiosów,
bez Twej się woli nie stało!
Kyrje elejson!
O źródło zdrady! Kyrje elejson!
Przyczyno grzechu
i zemsty i rozpaczy szaleńczego śmiechu!
Kyrje elejson!

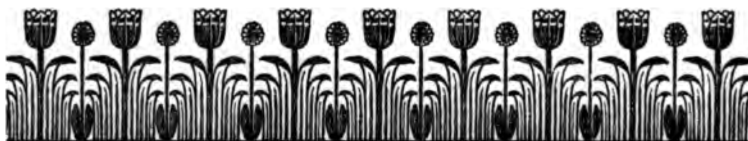
Sądź, Sprawiedliwy!
Krusz światów posady,



złocistowłosa Ewa,
do piersi pierś padalca tuli obnażoną?...

O Głowo, przepasana cierniową koroną!...

Któż się nad dolą zlituje sierocą,
nad moją dolą,
której, Boże, Twe ręce, z kajdan nie wyzwolą?
Kyrje elejson!
Patrzaj!... Kyrje elejson!
Ona swą białą dłoń
kładzie na jego skroń —
na trupią, zapadniętą, zżółkłą skroń zleniałą...
Kyrje elejson!
I podczas, gdy swe Sądy sprawiasz Ty, o morze
niewyczerpanych gniewów,
ona swem okiem patrzy w jego oczy —
omdlewającem okiem!
Kyrje elejson!
Jej nagie uda drżą,
palcami rozczesuje złoto swych warkoczy
i falą złocistych włosów
osłania jego nagość i pieści i pieści
ustami czerwonemi bladość jego ust.
Kyrje elejson!
Wężowe jego kręgi opasują biodra



rozlubieźnionej Boleści,
a ona, wyprężywszy swe rozpustne ciało,
nienasyconem oddycha pragnieniem.
Kyrje elejson!
Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
rozpalonego Szatana,
co świat umierający okrył swoim cieniem,
a ona,
w zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
zamknęła w drżące go biodra,
w nabiegłe żądzą ramiona...
Kyrje elejson!

Mą duszę pali wieczna, niezamknięta rana!
Któż mi lekarstwo poda?
Ojcze rozpusty! Kyrje elejson.
Nic, co się stało pod sklepem niebiosów,
bez Twej się woli nie stało!
Kyrje elejson!
O źródło zdrady! Kyrje elejson!
Przyczyno grzechu
i zemsty i rozpaczy szaleńczego śmiechu!
Kyrje elejson!

Sądź, Sprawiedliwy!
Krusz światów posady,



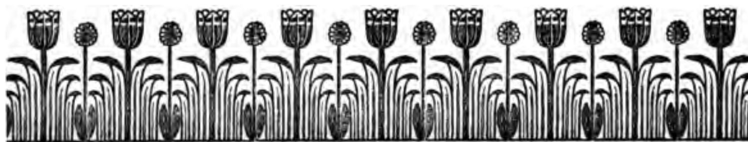
rozżegnij wielki pożar w tlejącej iskierce,
na popiół spal Adama oszukane serce
i płacz!
Z nim razem płacz, kamienny, lodowaty Boże!
Niech twa surma przeraźliwa
echem płaczu się odzywa
nad pokosem Twego żniwa...

Dwujęzycznego smoka,
Szatana o trzech grzbietach zwalczył w wielkim boju
archanioł pański Michał i zginął w otchłani. Amen.

I stał się koniec świata... O chwilo spokoju!
Zgasł płomienny głos Proroka,
i wieczności noc głęboka
nieprzejrzaną jest dla oka.

A ja, wygnaniec z Raju, tułacz nieszczęśliwy,
zesłany, aby konać, na te ziemskie niwy,
i patrzeć, jak pod złomem niebotycznej grani
usiadła matka Śmierci, Ewa jasnowłosa,
pieszcząca węża Grzechu, posyłam w niebiosa,
opadłe nad wieczności tajemniczym mrokiem,
to moje wiekuiste, nieprzebrzmiałe: Amen!

Amen!...



W umarłych bytów milczeniu głębokiem
słychać jedynie Amen, moje straszne Amen.

O Boże miłosierny, zmiłuj się nad nami!
Kyrje elejson!

Przedemną przepaść, zrodzona przez winę,
przez grzech Twój, Boże!... Ginę! ginę! ginę!
Amen.

A cóż powstanie ponad nicościami,
gdzie ongi były światy
i Ja, w chęć życia bogaty,
a dziś w umarłych postawiony rzędzie?

Niech nic nie będzie!

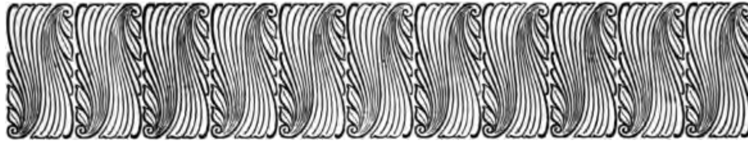
Amen.

Bo cóż być może, jeślim ja zaginął?...

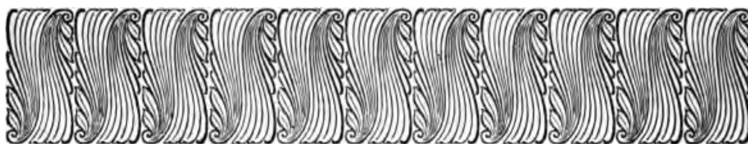
Na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął —

Amen!

SALOME

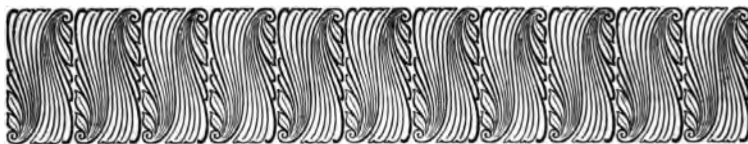


O przyjdź!
O boski przyjdź proroku!
Salome ciebie woła z płomieniami w oku!
Na tę słoneczną miłości polanę,
pomiędzy żądz rozkwitłe czarodziejskie zioła
Salome cię woła!
O przyjdź!...
Salome, kłęby włosów rozwiawszy miedziane,
niby wieków pożaru krwawiące się łuny,
w złocistej harfy uderzyła struny
i śpiewa...
O przyjdź!...
O przyjdź, proroku blady!
Ogień żywy obleje twe liliowe skronie,
Ogień żywy na licu-ć przygasłem zapłonie
od mych gorących warg!
Salome, białolistny kwiat Herodyady,
zerwany ręką Grzechu z świadomości drzewa,
w pożarne wieków łuny rzuca pieśń swą krwawą,
swą nieskończoną pieśń —
i woła cię, proroku! Przyjdź!...

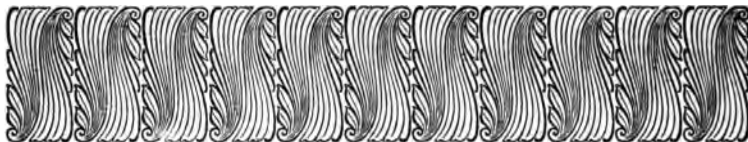


W królewskiej komnacie
kazałam służebnicom rozesłać kobierce,
utkane z miękkiej wełny owiec z Galaadu;
majestat ciężkich kotar otula me łoże,
moje łabędzie puchy!...
Ach! jak się trwożę!
Jak lęka się ma dusza, aby promyk złoty
nie przedarł się zuchwale do mojej tęsknoty!
By jakiś listek mirtowy,
gdy wiatr z kryjówek gaju ciche szumy płoszy,
nie zadrżał, posłyszawszy stłumione rozmowy
naszej mdlejącej rozkoszy...
Nie wejdzie nikt, prócz ciszy, w ten przybytek głuchy
prócz ciszy i prócz żaru mojego pragnienia,
co mi rozdźwięcza serce,
że śpiewa pieśń, idącą w wieków majestacie
przez świat, ogromny świat —
tę nieskończoną pieśń:
O przyjdź, proroku, przyjdź!...

Skąpałam swą dziewiczość w przejrzystym marmurze,
gdzie zdrój różanej wody z kształtnych dziobów tryska,
a słońce przez zazdrosne ciśnie się kryształy,
ażeby rozcałować mych biódr marmur biały,
mej piersi oroszone, wpółzamknięte róże...
Kazałam się namaścić maściami wonnemi,



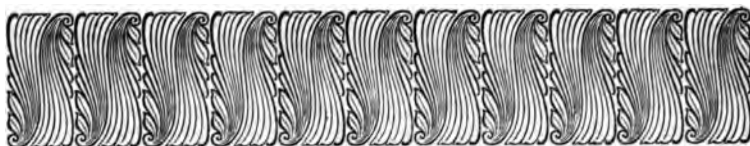
a uśmiech ubezwładniał me rozwarte usta
w przeczuciu nieznanej pieszczoty,
gdy Jezabel, ta płocha, ta dziewczyna pusta,
namaszczająca me łono
i mleczną szyję mą,
szeptała mi do duszy, żem ja winne grono,
najwyborniejsze z gron!
Ach! złocę się w słonecznem, błękitnem przestworzu
i czekam na winnicach engaddyjskiej ziemi,
aż przyjdzie pragnący On,
aż przyjdzie żniwiarz wybrany
i niecierpliwą dłoń
wzniesie po owoc ten złoty...
Ach! przyjdź!...
Na oceany
niewyczerpanych żądz
rzuć swoich żagli płótna
i płyń!...
Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie smutna...
Ach! przyjdź!...
Czekam na ciebie wesoła, radosna
onem pragnieniem, co się spełnić ma,
jako ta kwieciem pękająca wiosna!
Ach! przyjdź!
Powieki mi się kładły na przepastne głębie
moich senliwych ócz,



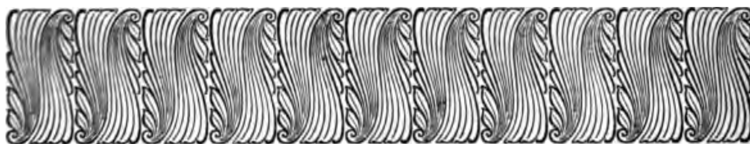
gdy gdzieś, na dnie ich, wielkiem, jak za krańcem świata
nieogarnięta oceanów toń,
kąpały się obrazy, rozkoszne, jak woń,
płynąca z Raju, gdzie — brat zabił brata!...
A były-ć w swej rozkoszy zabójcze, jak śmierć,
co na tę misę rzeźbioną
rzuciła mi w swym szale lubieżnym twą skroń,
owitą w włosów krucz,
ociekających krwią...
Ach przyjdź!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

O ty kochanku mój!
O mój jedyny kochanku!
Rozpalę w alabastrach kosztowne oleje,
otoczę światłościami jedwabniste łoże,
z nocy dzień biały stworzę!
Niech tych światłości zdrój
oblewa naszą miłość, by lśniła, jak zorze
konającego dnia!...
O Jezabel, ty płocha, ty dziewczyno pusta!
O Jezabel, przed tobą ma się dusza śmieje
i moje wargi drżą,
moje rozwarte usta!...



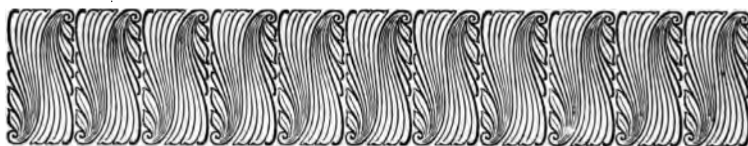
Lub zgaszę w drogich czarach płonące pochodnie,
szkarłatem, jak mrok gęstym, łożnicę osłonię,
promieniom gwiazd przystępu w ten kościół zabronię,
niech nasza miłość utonie
w wieczystej, nieodgadłej, niezgłębionej nocy!...
A z tajemniczych uścisków,
gdy dusza twa, proroku, mą duszę pochłonie,
gdy w oczach twych przymkniętych czar twojej Salomy
urośnie w niespodzianej rozkoszy ogromy,
gdy świat się cały zamknie w pragnienia wszechmocy,
a ty gdy cały zginiesz w nasyceń powodzi,
niech się zbawiciel narodzi
lub szatan, co po wszystkie globów widnokręgi
rozepnie wiekuistą, nieśmiertelną zbrodnię!...
Niech płynie głos tryumfu po życia odmętach,
lub jęk i żal, w skazańców wychowany pętach,
niech bije w bramy śmierci swym rozpaczy młotem,
niech dźwiga się po krzyżach, szubienicach, palach,
ku niemym stropom niebios, w chmury czy błękity,
a ty, proroku, niesyty —
ty słuchaj mojej pieśni, nieskończonej pieśni,
rozbrzmiewającej po bezbrzeżnych dalach,
i przyjdź!...
Niechaj się łamią potęgi,
niechaj się w gruzy rozpada
ten tron, na którym twórcza nieśmiertelność siada;
ta ziemia i te gwiazdy, słońca i księżyce



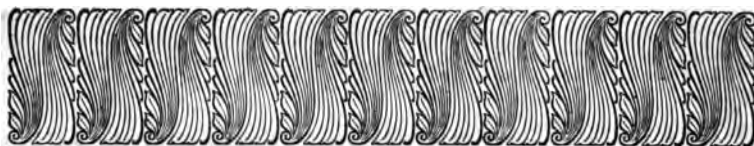
niech się rozprysną w mgławice;
niech sen wiekuistości jako sen się prześni,
ty słuchaj mojej pieśni
i przyjdź!
O ty kochanku mój!
O ty jedyny kochanku!...

Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

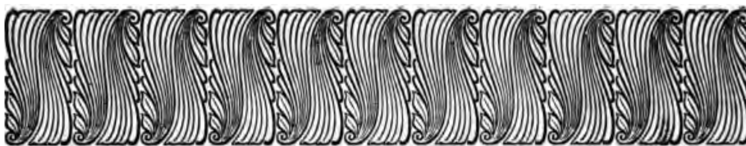
A o poranku,
o świcie któż mnie budzi całowaniem w oczy?
To on, to prorok boży!
Kto pieści miedź złotawą rozwitych warkoczy
i budzi całowaniem z słodkich snów omdlenia?
To on, to prorok boży!
Któż głowę mą podnosi i do ust przyciska
i znowu ją na puchach jedwabnych położy?
I budzi całowaniem i sen mój przemienia
w rozkoszną słodką jawę?
To on, to prorok boży!
Ach! przyjdź!
Któż piersi me odsłania i z swego ogniska,
z ogniska żądnej duszy sypie iskry krwawe
na moje łono białe,
na moje włosy złotawe,



na oczy, z rozkosznego zdumienia rozwarte,
i budzi całowaniem zdumienie rozkoszy?
To on, to prorok boży!
Któż sen mi płoszy?
Któż sen mi całowaniem płoszy na wiek wieków,
ażebym wieki wieków tuląc twoją szyję
w uścisku drżących ramion i do twego łona,
jak jemioła do dębu, ciałem przylepiona
i duszą, z rozwartemi wciąż śniła oczyma,
że twoją duszę piję,
że twem się ciałem sycę!
Że duszę twą i ciało miłość moja trzyma,
ażeby nie wybiegły za przybytku progi,
gdzie ja, gdzie moja miłość ogniem ogniów skrzy się!
Gdzie ja, gdzie twoja luba, twa droga, wybrana,
twa jedna i jedyna ma swojego pana
i swego sługę w tobie, o luby, o drogi,
o słodki, o wybrany, o jeden jedyny,
o na złocistej położony misie
w czerwieni krwi najdroższej, krwi najkosztowniejszej!
Któż mnie, kochanku,
o srebrnym budzi poranku,
że mogę twoje blade rozcałować lice,
że mogę wyczesywać z włosów krew zakrzepłą!?
Ze mogę tą źrenicą, z rozkoszy oślepłą,
spoglądać w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!

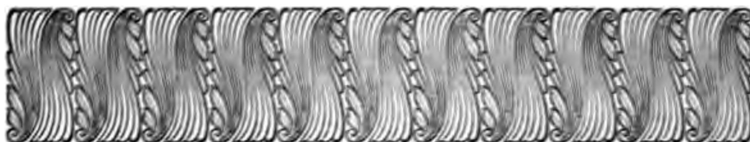


Że mogę twe powieki rozwierać palcami,
tą ręką, którą krew twa przekosztowna plami,
i patrzeć w twoje źrenice —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!
Jak one płoną ogromnie!
O moje wy służebne! przyjaciółki moje!
Na oścież otwierajcie pałacu podwoje!
Rozsuńcie nad posłaniem oponę czerwoną!
Kochanek zbliża się do mnie!
Uderzcie w lutnie i harfy!
Zatańczcie! niech radosny korowód się złoży!
Przy mnie kochanek mój!
Przy mnie jest prorok boży!
W tym wirze,
w którym ach! wszystek świat wiruje ze mną,
krew cieknie z misy, cieknie strugą ciemną!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Zedrzyjcie drogie powłoki!
Niech krew ta cieknie po mem łonie białem!
Niech się spokrewni z mem ciałem
ten przekosztowny zdrój!
O święte objawienie mej boskiej urody!
Te oczy,
w które wpatrywać się będzie
ten mój kochanek młody,
aż mu się z szału wszystek świat zamroczy!
Ach! przyjdź!...



Te moje włosy miedziane,
w które on rękę zanurzy
i będzie na swej dłoni ich sypkość promienną
z rozkosznym ważył uśmiechem!
Ach! przyjdź!...
Te usta, szkarłatem zlane,
barwami od świtowych ros wilgotnej róży!
Ach! przyjdź!
Te moje piersi drzemiące!
Z parą łabędzi porówna je senną
i potem je pożarem całunków przebudzi,
aż spłomienieją od rozkosznych znamion!
Ach! przyjdź!...
Te biodra, które zamknie pierścieniem swych ramion!
Ach! przyjdź!...
Ach! przyjdź, kochanku, przyjdź!...

Dlaczego głos mój w pustem rozbrzmiewa przestworzu?
Dlaczego mu potężnem nie odpowie echem
głos twój, proroku, by wieścił przemianę
okręgów świata pod mocą
miłości mojej niesytej?
Proroku! niebios błękity
złączą się z ziemią, przez ciebie wezwane,
w tajemnic jeden cud
i ty objąłeś istotę stworzenia,



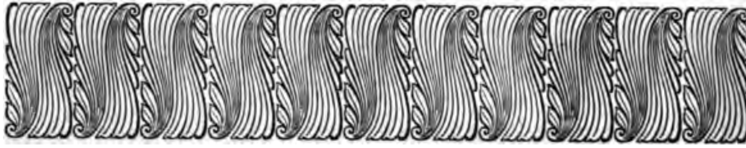
objąwszy miłość mą!
O! jakie blaski w twoich oczach drżą!
W jakąż muzykę głos się twój przemienia!
Jak rozkrysztala się w srebrnych oparach!
Jak z światów cudotwórczym zlewa się oddechem!
Głos twój, przy moich zająwszy się żarach,
błyskawicami moich żądz brzemienny,
huczący grzmotem namiętnego szału,
który od końca do końca
przenika głębie, moją wypełnione duszą,
wstrząśnie tej ziemi macierzystem łonem
i nowe siły wywiedzie z jej wnętrza.
Z przepaści ciemnie się ruszą
i jutrznie, owinięte obrzeżem czerwonem!
Do boju stanie dzień z nocą;
pomrok ucieknie jak tchórz;
łyskliwe wody zagrają pieśń fal
pod tchnieniem rannych zórz,
pod lubieżnymi całunkami słońca,
które powstanie, rozbudzone głosem
twojej natchnionej, a mnie pełnej pieśni.
O wskrześnij, wiosno, o wskrześnij!
Po łąk kwitnących obszarach
rozpromienieją się rosy,
a ty je strącać będziesz stopy swemi,
przed siebie idąc z głową, wzniesioną w niebiosy,
dumny, że z stworzeń najpierwsza,



że ta najczystsza i ta najgorętsza
na niewolnika wzięła cię swej wielkiej,
swej wszechpotężnej miłości,
która jest jedną na niebie i ziemi,
która stworzyła te jutrznie, te zorze,
te słońca i te rosy słoneczne kropelki
i to rozkwitłe zboże,
uginające przed tobą swe kłosy...
Las się rozszumi, a ty, o proroku,
jeden na ziemi i niebie,
słuchać go będziesz i, idąc przed siebie,
wciąż zasłuchany w tę szumiącą dal,
zgłębisz tę głębię szumu,
ujrzysz w nim duszę Salomy
i śpiewać będziesz jej chwałę,
że była przedtem, nim w wierzchołkach drzew
ten tajemniczy zaszeleścił śpiew...
Przezemnie, przezemnie
przenikniesz wieków ciemnie
i rozsłonecznisz to, co legło w mroku!
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy obłoku
rozsłonecznioną urodą,
a smaragdową jętką, co nad wodą,
nad szeleszczącą trzciną skrzydły przejrzystemi
lśni w promienistem słońcu
i nad wieczności zagadką przelata,



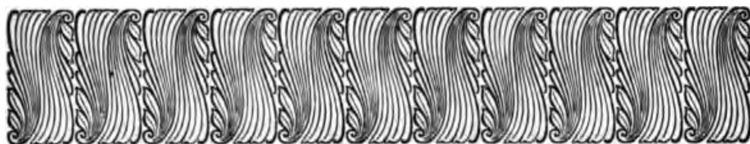
nad życiem i śmiercią ziemi.
Przezemnie, przezemnie
poznasz, co w gwiazd się kryje milionie,
a onym kurzu, który wiatr południa
wzrusza po drogach i rzuca na świeże
po burtach rowów i miedzach rosnące
kępy krwawników i śniade szaleje!
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek pomiędzy spokojem
w tę północ letnią, a drganiem powietrza
nad rozległemi rżyskami
w sierpniowy skwar,
gdy słońce stanie na szczycie.
Przezemnie, przezemnie
rozpoznasz związek między pluskiem ryby,
zostawiającej kręgi na jeziorze,
a wulkanicznym ogniem, który w łonie
rodzącej ziemi płonie
i wre i huczy i lawy
wyrzuca potok krwawy,
że ziemia z grzmotem pęka i walą się miasta
i giną miłości nadzieje,
a w śmierci pełnej pustce rozpacza niewiasta!
I nic nie widzi, tylko oczu dwoje,
płonące ogniem wulkanu!
I nic nie słyszy, tylko wrzące tchnienie
swej rozszalałej piersi!



I nic nie liczy, tylko one chwile,
kiedy na świata mogile
stanie z tą misą złocistą
i krąg szalony zatoczy —
ten krąg radości i bólu...
A ty, o królu Herodzie,
życia i śmierci barbarzyński królu:
w taniec przed tobą pójdzie wstyd dziewiczy,
tylko mi pozwól wziąć
głowę bożego proroka!...
A wy służebne moje, przyjaciółki moje!
Słuchajcie dźwięków mej harfy!
Zedrzyjcie ze mnie te szarfy!
Niech padnie ta droga powłoka,
niech barbarzyński król życia i śmierci
mojem się ciałem upije!
Niech go powali ten taniec
zapamiętałych żywiołów!
Niech wie, że chociam z popiołów
i popiołami żyję,
przy mnie jest prorok boży,
przy mnie kochanek mój!

Czemu nie idziesz? czemu?

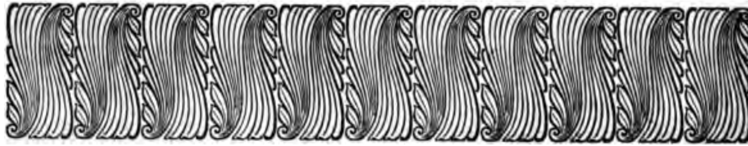
Salome, białolistny kwiat Herodyady,



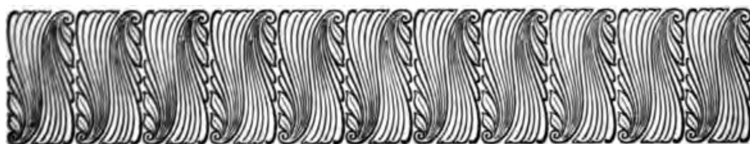
zerwany ręką grzechu z świadomości drzewa,
pieśń żywiołów śpiewa...

Przyjdź!...

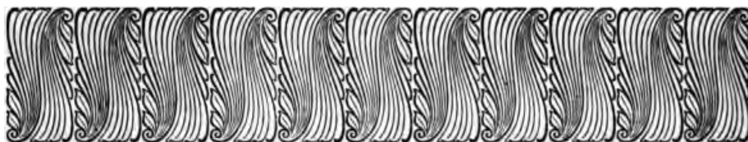
Przyjdź!... Pospieszymy
w miesięczną noc do gaju, gdzie cyprysów cienie
rosną pod srebrnem księżyca zaklęciem
w jakieś tajemne olbrzymy,
że po nich stopa człowieka
kroczyć się lęka...
Ale odemnie trwoga jak daleka,
gdy twa powiedzie mnie ręka,
gdy przy mnie Salomy wybraniec
z księgą tajemnic, w której zapisano
w spełnienia rano,
co między cieniem cyprysu,
a między krągiem księżyca
zmieściło wielkie spełnienie...
Albo się wspniemy na stromość opoki,
przeszywającej obłoki,
i, mając głębie mórz u naszych stóp,
opanujemy los świata...
I wielkie zbiorą się rzesze,
przyjdą mocarze i króle



z swojego życia zawrócą się dróg
i wszystkie skarby rozsypią przed tobą,
byś był, jak oni,
byś się w ich ubrał purpury
i na ich tronach siadł
i z niebotycznej rozkazywał góry,
byś opanował miecze i lemiesze
i dzierżył je do końca niezliczonych lat.
Byś serca z łon królewskich wydzierał skrwawione
i w swojej mocy
na misy je rzucał złociste!
A ty nad życia żałobą
i ponad życia radością,
nad jego blaskiem i wonią,
nad jego nocą i dniem
podniesiesz swą prorocką, niedosięgłą wzgardę
i, uderzywszy dłonią
w pomarłe głazy twarde,
że dźwięk wydadzą krwawy,
a dotąd niesłyszany w istnienia obrębie,
rozpoczniesz wieścić sprawy,
będące ponad istnieniem,
nad tem, co się mieści,
w rozkoszy, czy boleści,
między cyprysu cieniem,
a krągiem srebrnego miesiąca.
A morze, nad bezdenne wychyliwszy głębie



swą rozwichrzoną, niepomierną głowę,
na której każdy włos,
srebrzystą pianą zlany,
dźwiga wieczności głośne oceany,
słuchać cię będzie z poszumem,
co najgłośniejszy ból światów przygłuszy!
Lecz ponad morza szum
pójdzie ten głos,
który się wyrwie z twej duszy...
Lewiatan się ruszy
i oczy swe globowe z zdumienia otworzy
i paszczę, która chłonie wieków straszny żer,
do twej wyciągnie Salomy.
Pragnie ją pożreć, że twemu wieszczeniu
dała tę wielką moc,
która nad wszystkie idzie Lewiatany!
Ale w szatańską noc,
gdy błyskawice i gromy
z krzykiem owijać będą swemi wstęgi
i żreć swoimi ogniami
wieczysty byt,
ona płomiennym mieczem swej potęgi,
która ci duszę rozżegła
do wieczystego płomienia,
odetnie głowę potwora
i na złocistej ją misie
przed tobą rozkosznie złoży,

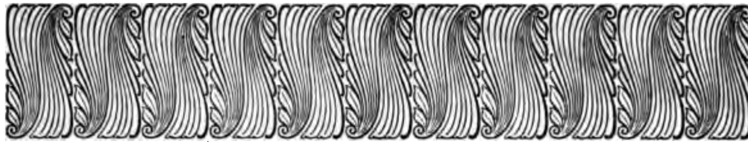


o ty cyprysie,
cień rzucający olbrzymi!
O ty proroku boży!
O ty kochanku mój!
Ach! przyjdź!...

Czemu twe oczy umarłe tak płoną
w konającego dnia zorzę czerwoną?
Przyjdź!
Libijczyk, królewskiego strzegący pałacu,
śmiał ku mnie sięgnąć swem okiem!
Zakradał się z wieczora pod białe me ściany,
aby, z westchnieniem głębokiem,
zobaczyć twojej wybranej
ten obnażony cud,
ścielący się na miękkie jedwabiów dywany,
pomiędzy rozsunięte miłości osłony,
na łoże płonących żądz.
Ach! przyjdź!...
Libijczyk do przybytku wejdzie nieproszony,
westchnieniem miłość mą kupi!
Na jego czaszce trupiej
me rozżarzone położą się ręce!
Do jego czarnej brody
przylgnie ten dziwny kwiat,
który w pożądań niweczącej męce



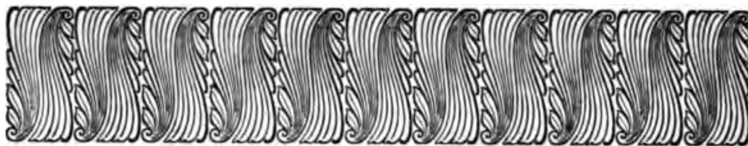
zabójczym mieczem wykwita
z mej twarzy młodej —
jak twe źrenice, choć umarłe, płoną
w cichej bladości na tej misie złotej!
Ach! przyjdź!...
Przyjdźże z tym głosem bożym,
który rozbrzmiewa w świątyni
nad lud ten tłumny,
o marmurowe łamie się kolumny
i o sklepienie odbija się gromem
i jehowiczne łoskoty
na całopalne rozlewa ołtarze!
Libijczyk zwiędłoczoły opuści z mym sromem
mojego domu próg...
Ach! przyjdź!...
Salome cię woła...
Salome, kłęby włosów rozwiawszy miedziane,
niby wieków pożaru krwawiące się łuny,
w wieczystej harfy uderzyła struny
i śpiewa —
i wzywa cię proroku: przyjdź! ach! przyjdź! ach!
Weź mnie do swego kościoła! [przyjdź!
W ręku trzymając palmy,
zerwane z wiosennego zmartwychwstania drzewa,
nucić będziemy psalmy,
wielbić będziemy Boga,
jako jest jeden Bóg,



który miłości pragnienie
w twoją Salomę wlał.
Mirę będziemy sypać w trybularze,
do ognia dokładać drew,
niech Abrahama spełni się ofiara!
Niech głowa bożego proroka,
który ten zrodził śpiew,
ten śpiew wieczysty,
spocznie na misie złocistej!
Albo wszechmożny podniesiemy bunt!
Podważym świątynny mur —
niech runie u naszych stóp
wraz z Bogiem, który w piersi najprzedniejszej z cór
zbudził rozpaczy głos,
ciemny, jak grób,
rozbrzmiewający nad wielką nicością,
idący w zorzę czerwoną
konającego żywota,
nad temi oczy, co tak strasznie płoną!...

Miso wybrana! o miso ty złota!
wieczysta struno mej harfy!...

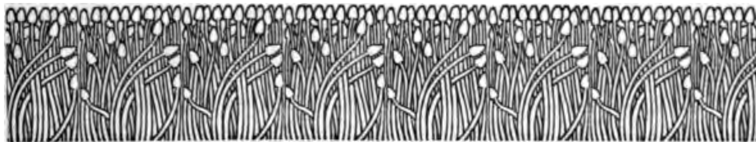
Ach! przyjdź, proroku, przyjdź!...



A wy, o moje służebne,
zedrzyjcie ze mnie te szarfy —
i tańczcie!... i tańczcie!... i tańczcie!...

Miso wybrana! o miso ty złota!...

ŚWIĘTY BOŻE ŚWIĘTY MOCNY



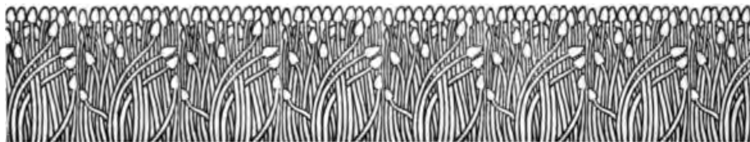
O niezgłębione, nieobjęte moce!

Skrzydłami trzepocę,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...

Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny!...

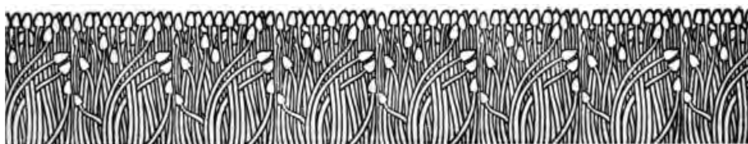
A moje skrzydła plami
krew, która cieknie bez końca
z mojego serca...
A oko moje zachodzi mgłą,
która jest skonem
i mego serca i duszy mej!...

Niech będzie skonem i Twoim!...



Święty Boże! Święty Mocny!
Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!
I niechaj łzy,
które o jasnym poranku'
wiszą na kłosach wypoczętych zbóż
lub szkliwą pianą okrywają kępy
w sen otulonych traw,
zmienią się w głośne skargi
i bez ustanku
płyną do Twoich zórz...
Niechaj rozszarpią na strzępy,
na krwawe szmaty
łuny świtowe, powstałe nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
ogromne, przez Szatana zapłodnione światy,
a może przez Ciebie,
o Święty, Nieśmiertelny, Święty, Mocny Boże!

Dlaczego moje-li wargi
mają wyrzucać krwawą pieśń?!
Płacz ze mną!
Dlaczego sam mam iść w tę przestrzeń ciemną,
choć żar południa pali się w przestworze?...
Dlaczego sam mam wlec się na rozdroże,
ku tym pochyłym krzyżom,



którym na czarne ramiona
kracząca siada wrona
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno?

Niech głuche żale nie głuchną!...

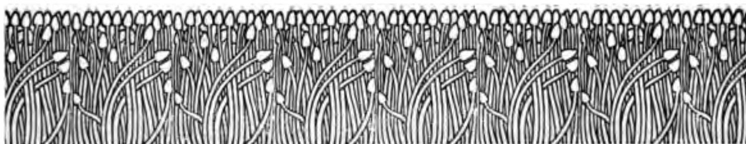
Idź ze mną!

Zrzuć z Siebie, Ojcze, nietykalne blaski!
Zgarnij ze Siebie tę bożą,
tę władającą moc, co nad wiekami
nieugaszoną płomienieje zorzą
i światłość daje światom
i światy w swoim ogniu na popioły trawi!
Stań się tak lichy, jak ja, i skulony
i, doczesności okryty łachmanem,
wlecz się nieszczęsnym łanem,
za kluczem w dal przymgloną ciągnących żórawi,
ku cichej, na rozstajach kopanej mogile
zapomnianego człowieka!
Albo w swej całej wiekuistej sile,
w całej potędze wszechmocnego bytu,
stań przy mym boku
i duszę moją rozszerz do Swego bezmiaru

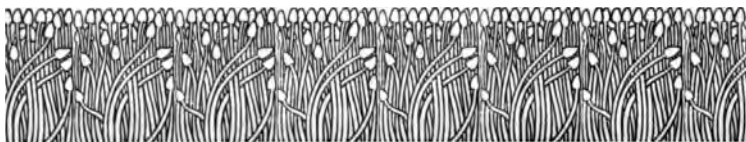


i oczy moje, w smutku zapatrzone strony,
rozewrzyj, królu globów, pełnych żalu,
do nieobjętych orbit,
i wlecz się, wlecz się ze mną na samotne pola,
ku tym ostami porosłym przydrożom,
gdzie, kurzem obsypana, ślepa siadła Dola...

A wiatr rozwiewa jej włosy
i żwir jej w puste sypie oczodoły,
a słońce, rozpaliwszy bezdenne niebiosy,
pali jej żółte, pomarszczone skronie
i po policzkach leje strumień żaru,
w bezdźwięczną skórę piersi wysuszone zmienia
i wargi jej roztwiera, daremnie łaknące
ach! rzeźwiącego zbawienia.
A dzwon się rozlega,
z jękiem się czołga po spalonej łące,
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody
i zrozpaczony zamilka u brzega
i znów się zrywa i jęczy i płacze
i łka i płynie i płynie i płynie
w tej rozpłakanej godzinie...
A jako widna ta ziemia, wspaniała
wielką godziną konania,
niepogrzebione wokół leżą ciała,



a ci się wloką, popędzani mocą
strasznego lęku.
A każda głowa ku ziemi się słania,
każde kolano się chwieje,
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych ręku,
a w wietrze chorągwie trzepocą,
a w martwem, niemem słońcu gromnice się złocą,
a Śmierć przed tłumem kroczy,
wielkimi kroczy odstępami
i z śmiechem na trupich ustach
wywija kosą stalową,
połyskującą w południowym skwarze.
A nad jej głową,
jak wieniec z czarnych ziół,
rozkwitłych podmuchem żałoby,
gdzie drzemią stuleci groby,
zgłodniałych kruków krążą stada
chmurą ściemnioną
i wysunąwszy dzioby,
żądliwie chłoną
ten wiew, który idzie od ziemi —
trujący, śmiertelny wiew...
A ona, świata przebiegając smug,
kroki swe liczy na mile
i kosą zatacza łuk,
że jako zboże w dzień kośby,
tak pokolenia padają

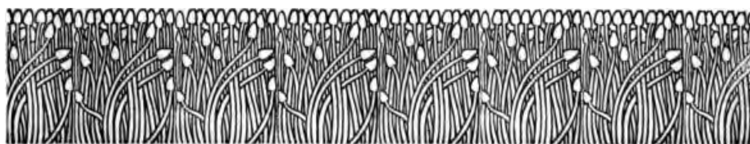


na nieskończonym obszarze,
który jej mocy oddał się spokojny,
który jej mocy oddał się bezwiedny...

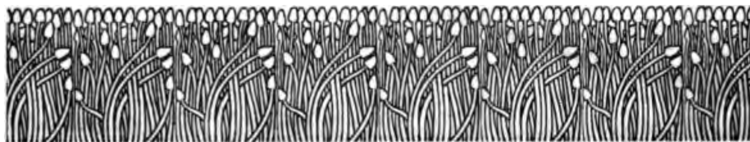
O dzwonu łkające prośby!
O szumie więdnących drzew!
O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!...

A ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką.
A dzwon się rozlega
w blasków słonecznych pozłocistym pyle,
opadającym na zielska przydroży,
na melancholią okryte przecznice,
na grób samotny
zapomnianego człowieka.

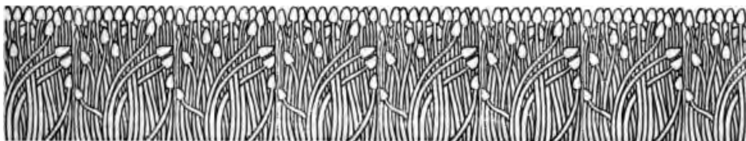
Kopcie samotny grób!
Niechaj w nim kości położy
ten, który z matki żywota
wyniósł nieszczęsny los!
Nieokiełzana gnała go tęsknota
za widmem bolu,
który sam jeden



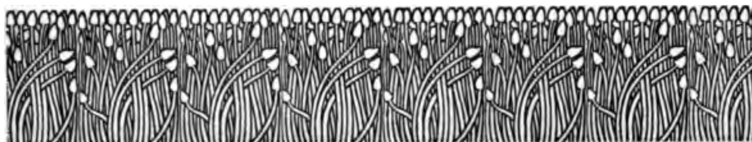
wszechmocny posiada głos,
który sam jeden rozpieśnia
duszę słabego człowieka
w natchnioną pieśń,
zapładniającą światy...
Kopcie samotny grób,
pośród krwawników kopcie i dziewanny,
u stóp
próchniejącego krzyża,
gdzie w południowy skwar
bratnie się schodzą duchy,
tłum zapomnianych mar,
i wśród spalonej usiadłszy murawy,
jęk wyrzucają głuchy
z skrwawionych łon...
A jęk ten idzie po zżętych zagonach
razem z tą pieśnią, którą jęczy dzwon —
na rżyskach rusza porzucone kłosy,
czarnemi ożyn jagodami chwieje
i wierzb płaczących srebrne czesze liście
i szumi w wierzchach czerwonych chojarów...
Kopcie samotny grób
tam, na tej miedzy szerokiej,
gdzie rośnie łopian chropawy,
gdzie srebrne lśnią się podbiały,
gdzie aksamitna bylica
rozpierza miękkie swe kiście!



Tam, gdzie ten parów
sączy resztkami wody,
gdzie ten wądolec ospały,
gdzie ci się wloką,
blasków słonecznych odziani powłoką,
gdzie się nad drogą kurzu wzbija słup,
kopcie samotny grób!
Gdzie ziemia pęka od żarów,
gdzie każda jej grudka
pełna jest znojów
i krwawych prób,
gdzie dzwon się rozlega,
gdzie w wietrze chorągwie trzepocą,
gdzie się gromnice złocą —
kopcie samotny grób!
Gdzie w dali pobłyskuje jezioro tęskniące,
gdzie jaskier więdnie na łące —
gdzie opuszczone mogiły —
te kopce poległych wojów
nielitościwy rozorywa pług,
rdzawe szablice wyrzucając z wnętrza,
dziś wroga zbrodniczy łup,
tam wy samotny, cichy kopcie grób!...
Niechaj w nim kości położy
ten, który powstał z tej ziemi,
który miał w sobie jej trud,
jej tajemniczy jęk,

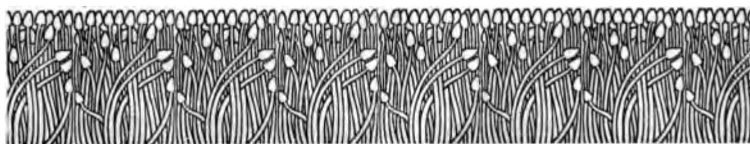


idący z głębin przestworzy
w południa senny skwar.
Niechaj w nim spocznie na wieki
ten, który zabrał z jej chat
żalniki łez
i czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres,
i z jej szumiących zbóż
zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
i w swoich dum
treść go zamykał i w świat
jak wielką świętość niósł.
I żal go zdejmował,
że mu nie daną była moc,
by zmienić w tryumf te łzy;
że nie miał siły,
aby te szumy żałobne
w jakiś weselny,
w jakiś radosny hymn się rozpieśniły!
I, obarczony przekleństwem najdroższych,
stanął na drodze w dzień tuczy,
jak krzew pogięty,
i z piorunami w zawody
rozpaczą grzmiał!
A burza huczy i huczy,
a chmur się kłębi wał,
a wiatr mu deszczem miecie w ślepe oczy,
a grzbiet mu drży, jak brzoza wśród pustego pola,

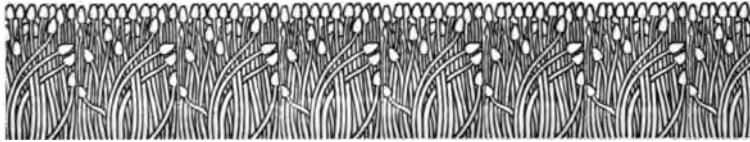


a ślepa, na przydrożu przykucnięta Dola
śmieje się dzikim śmiechem,
że się nie spotkał z echem
ten rozpaczliwy głos,
że go wchłonęły odmęty
tej burzy.
Że w tej śmiertelnej podróży,
w tej drodze znojnej,
na tym zsieczonym łanie
upadł bezsilny człek,
do wichru zwalił się stóp.
Kopcie samotny grób!
A Ty, o Święty,
o Nieśmiertelny,
który Swym jednym oddechem
wypełniasz wieków wiek,
Ty od powietrza, głodu, ognia i wojny
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!

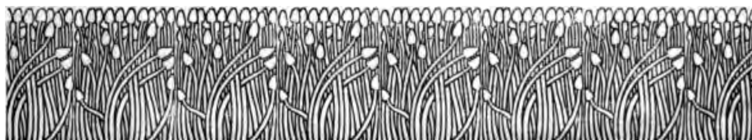
Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węgłem niebieskiej bramy...



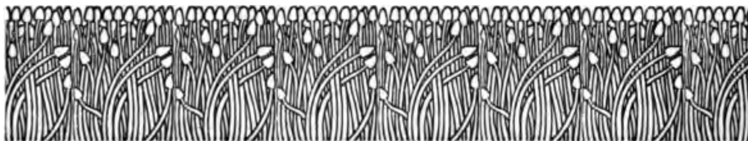
A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem
na trumnę sypią się grudki
ziemi, oblanej potem,
ziemi, oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy, co z cichym szelestem
pożółkłe liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!
Przerwij tę ciszę!
Niech twoje słowo gromowe
zagrzmi nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieje!
Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornem błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!



Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj z daleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze żyta wypleń sporysze
i chwast kąkolu
i w ręku trzymaj te chmury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu!
Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecia
na ledwie rozkwitłem drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych, pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,
byśmy Twe dary godnie oceniać umieli.
O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanąć nad niemi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie,



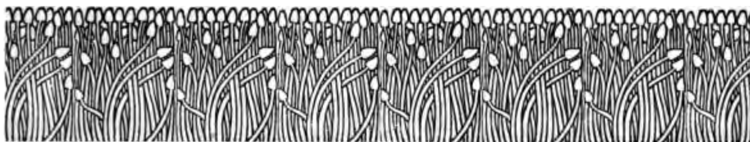
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesołą,
gdy na organie
i śpiewem i kadzidłem wielbimy Twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dziecinom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczęli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki,
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady
i prosić o jałmużnę ach! na cztery deski,
na prostą białą skrzynię z naznaczonym smołą
krzyżem u głowy...
Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj
i aby grosz był gotowy
dla dziadka proszalnego, co w gorącej wierze



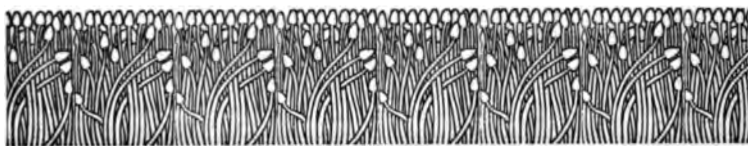
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask
nie zechcesz równać strychulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować, Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmią śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej trawy szelestem...

Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,



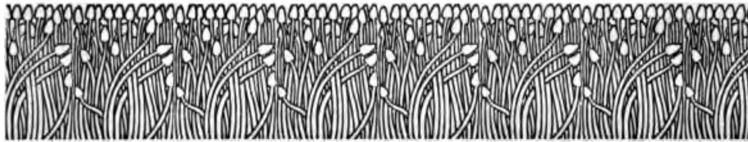
a czarna wrona,
na Bożej Męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
świetlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądolcach
i, z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkimi
wierzb zaszeleścił rząd



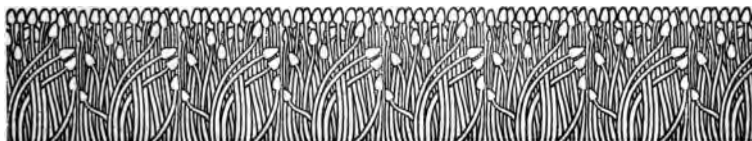
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żałobie
śladem ich drogi...
Całe rżyskami zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną,
tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
o Nieśmiertelny!
o wieńcem blasków owity!
na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i głową na złocistym spocząwszy Trójkącie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć,
w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże!



O Mocny!
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód!
Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.
A jako ryczący lew
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny

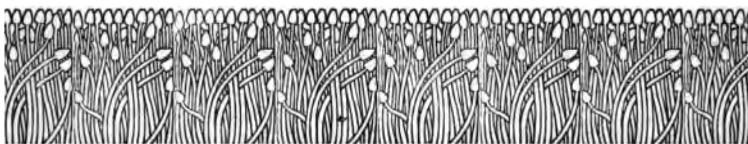


w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę,
jak ten zsieczony las —
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła krwią ociekające,
a jaskier więdnie na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilie,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...



Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał
i gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce,
na te ścierniska,
pod ramię chwycił Kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal —
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...
Masz-li Ty grom —
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?...
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,
niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...
. . . .



Szatanie!
Ty Kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kosy
wzrosłeś w niebiosy —
a grom nie pada!
Z nieukojoną żałobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...
Szatanie!
Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...
A Ty, o Święty!
A Ty, o Mocny!
Ty Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesypuj w Swej klepsydrze złotej
i płodź żywoty,
aby tak klęły, jak ja;
aby płakały, jak ja;
aby w szarpiącej modlitwie,



co jako dzwon ten łka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły z gromnicami w dłoni
ku tej nieznanej ustroni,
do tej — ostatniej mogiły;
aby tak wyschły jak łza,
którą już oko me płakać nie może;
aby tak marły, jak ja —
o Święty, Nieśmiertelny! Święty Mocny Boże!

MOJA PIEŚŃ WIECZORNA



On był i myśmy byli przed początkiem —
niech imię Jego będzie pochwalone!
Razem z gwiazdami byliśmy i słońcem,
zanim się gwiazdy i słońca
jęły rozbijać w swych kołach,
zanim się stało to, co cię pożera.

O duszo, spragniona miłości,
o duszo, spragniona spokoju!
On był i ty w nim byłaś przed początkiem,
nim jeszcze miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem...

Dzień mój przygasa —
za wielkim, niebotycznym przygasa mi szczytem,
krwawą za sobą zostawiając zorzę,
która się czepia ogniami



tych oto smreczyn i ścian poszarpanych,
zatartych śladów moich stóp.
Dzień mój przygasa, ten złoty,
ten lazurowy, ten słoneczny dzień,
w błogosławieństwie swych drogich promieni
wiążący klątwę dla człeka,
dla zbłąkanego pielgrzyma.
Niech gaśnie! niech ginie!
Niech upragniony nadejdzie już wieczór
ze swoją ciszą wieczystą,
która ci mgłami szepce miesięcznemi,
że zanim miłość i spokój
stały się ogniem trawiącym,
zanim się stały zabójczą tęsknicą
i tem kamiennem, ślepem przerażeniem,
On był i myśmy byli przed początkiem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy od cichych pól,
od rżysk i rzecznych pobrzeży,
od przecznic i od ugorów,
od wypaczonych chat
i od tych stodół zwietrzałych
chłopięca płacze piosenka:
A grajże mi, piszczałeczko,



a grajże mi, graj!
Ulinilem cię z wierzbiny,
gdzie ten potok srebrnosiny,
gdzie ten szumny gaj!
Pani pana tam zabiła,
zieleni się hej! mogiła,
zieleni się, hej!
A cierniste krzewię głogu
kwiat swój sypie po rozłogu,
a szept idzie z kniej!...
A dusza słucha i słucha...
A dzień jej przygasa,
a ona śladem tęsknicy
płynie rozlewną falą księżycową,
rosami płynie, lśniącemi na łąkach,
i wierzchołkami ukojonych drzew
i grzbietem białych gór
ku onym dniom zapomnianym,
gdy miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.
Przestwór się przed nią rozszerza
i, przepełniony wiekuistą nocą,
topi w swych głębiach wszystko, co ją zmogło
urągowiskiem i grzechem
i wypełnioną pokutą,
wstydu i hańby pociemniałą twarzą



i podeptaniem świętych, bożych praw
i krwawą zemsty pochodnią
i bolu, bolu strasznego
tak pożądanem, a tak żrącem widmem.

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!...
Na senne kwiaty wystąpiła rosa,
na łąk płaszczyzny, na ciemny łan zboża,
a ona siadła u brzegu jeziora
i rozmodlona patrzy w jego głębię —
i oparami wznosi się nad wielką,
nad uciszoną, rozmodloną wodą —
i słucha i patrzy i szepce
swoje wieczyste pacierze.
Z zapadłych wiosek płyną rozhowory,
w bagniskach dzikie obzywa się ptactwo,
a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju
w samotnej chacie pobłyskuje światło,
a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.
Od zórz zachodnich, w ziół zasypiających
rozkosznej woni piosnka się kołysze,
nad niemowlęcia kolebką wysnuta:
O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu
zza siódmej góry, zza siódmej rzeki,



które na smutek słodkie ma leki.
O tej godzinie, co szczęście niesie,
pieśń się kołysze po krzach, po lesie,
po falach żyta pieśń się kołysze
w tę uroczystą wieczorną ciszę,
a w ślad za pieśnią cicha kroczy Śmierć.
Wyszła z dziedziny, gdzie miłość i spokój
nie są-ci ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem,
i w świat podąża, ku onym rozstajom,
k'temu pustkowiu, ku chacie samotnej,
k'temu słabemu, czerwonemu światłu...
Ścieżyną zdąża i traktem szerokim,
po drodze zerwie jakiś kłos zielony,
albo też listek topoli
i w zamyśleniu rzuci je pod nogi.
Lekkiemi stopy przygnie jakąś trawkę,
lub owad zdepce na miedzy,
albo swą długą, białą, przezroczystą
zanurzy rękę w staw
i jego srebrną powierzchnię
powlecze rdzą opalową.
Czasem w tym swoim pochodzie
siądzie na chwilę pod krzyżem pochyłym
na opuszczonej mogiłce,
i, głowę ukrywszy w dłonie,



głębokim jękiem zapłacze,
rozlewającym się na okrąg świata,
a potem wstaje i traktem rozległym
albo miedzami idzie znów śród zbóż
k'temu pustkowiu, gdzie w chacie samotnej
czerwone, słabe połyskuje światło.
A za nią snuje się smuga
sinych oparów i mgieł,
na których ciężkiem, dalekiem obrzeżu
zachodnia krwawi się zorza...

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo?...
On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera!
Czemu nie gaśniesz?!
Ach! jak się w twoich płomieniach
palą te grona jarzębin!
Jak się rozżarza ten żwir —
ten szary piasek na drodze pątniczej!
Wybaw człowieka, o Panie,
od żagwi gniewu Twojego!
Dusza Ci śpiewa psalm, jak niegdyś, niegdyś —
śród koralowych jarzębin,
przy rozszumiałych, wielkich polach zbóż,
przy tajemniczych pogwarach tych lip,
rozkołysanych Twym świętym oddechem...



Pokorna, cicha, nieskalana dusza
stoi u wrótni kościółka
i psalm Ci śpiewa, tak wieczny,
jak wieczną ona i Ty!
Na roztęczone mgławice kadzideł
kładą się dźwięki organów,
majestatyczne, cudotwórcze dźwięki,
i podpływują ku cichej, pokornej,
ku nieskalanej, ku skupionej duszy,
klęczącej w progu świątyni.
Grona jarzębin rumienią się w słońcu,
prastare lipy szumią hymn pierwotny,
przenikający głębinę jestestwa,
łan się kołysze, rozłożysty, złoty,
w oknach świergocą jaskółki,
nad poszeptami pacierzy
nieprzeliczonych pątników
białe wzlatują gołębie,
a w rozmodleniu milczącem,
na skrzydłach psalmów, tak wiecznych,
jak wieczna ona i Ty,
wznosi się dusza ku Tobie.
Bo gdzież jest większy Pan i król i władca?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?
Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie.
Z Siebie stworzyłeś ten przestwór bez końca



i z Siebieś w niego rzucił żar na słońca.
Istnienieś Swoje zamknął w prochu ziemi
I wichr piersiami oddycha Twojemi.
Duszę człowieka wywiodłeś ze Siebie
wraz z duszą globów, świecących na niebie.
Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i listkiem,
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem
i przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
ma nieśmiertelne w Tobie królowanie.
Gdzież moc Ci równa? Gdzież równa potęga?
Gdzież jest ten płomień, co skry Twej dosięga?
Gromem przemawiasz w łyskającej tuczy,
głos Twój morzami i wulkanem huczy,
trzęsieniem ziemi ogłasza Twe wieści,
lub słodko szumi, szemrze i szeleści.
Straszliwym bywasz w Swym monarszym gniewie:
rozkwitłe pola zatapiasz w ulewie,
żagwią pożarów godzisz nam w zagrody,
bijesz dobytek i zatruwasz wody.
Lecz kto opiece Twej odda się szczerze,
tego Twa łaska od złego ustrzeże.
Bo czyjaż dobroć Twych bezmiarów sięga?
Gdzież moc Ci równa i równa potęga?...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy,
tej nieskalanej, pokornej i cichej!...



On był i myśmy byli przed początkiem —
chwalmy i wielbmy Jego święte imię!

Czemu nie gaśniesz, ty zorzo,
nad oceanem tych ciężkich oparów,
co pochłonęły me słońce?
Księżyc się dźwignął ponad węża gór,
osrebrza brzegi obłoków,
lśni się na rysach śnieżystych;
od wschodu pełza cicha noc,
stoki swym wielkim przytłacza spokojem,
a ty się palisz!
Stamtąd — od nizin dalekich,
usypiających poza stu wodami,
poza tysiącem dróg,
jakieś się echo przyczołguje w duszę —
Cicho!
To płacz tej dawnej, chłopięcej piosenki:
A grajże mi, piszczałeczko,
a grajże mi, graj!
Uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj srebrno-siny,
gdzie ten szumny gaj!
Ach!...
Przeorałem łan o świcie —
od pola, do pola,



kąkól wyrósł w mojem życie,
dolaż moja, dola!
A graj-że mi, piszczałeczko,
a graj-że mi, graj!...
a graj-że mi, graj!...
Czemu się żagwisz?...
Niech raz już wszystko zagaśnie!
Jarzębina się rumieni,
szepcą lipy stare,
suchy piasek się podnosi — — —
Czemu nie milkniesz, ty zorzo?
Dlaczego krzykiem ognistym,
wystrzelającym z tych przepastnych szczelin,
pomiędzy dwiema piekielnemi ściany,
tak mnie oślepiasz i tak mnie ogłuszasz,
że dojść nie mogę do kresu?
Dzień mój już przygasł,
a zorza jego się krwawi,
jakby się krwawić miała w nieskończoność!...
Wszystko pożera swymi płomieniami —
duszę mi pali i świat cały pali!
Z olbrzymich snopów ognia,
jakby młóconych niewidzialnym cepem,
sypią się ziarna skier
w okrąg na niebo i ziemię!
Księżyc się zajął
i w mgnieniu oka wyrósłszy



w ogromną kulę ognistą,
zaczyna rwać się w kawały
i płomiennemi wali się bryłami
na cielska płonących gór,
na popiół smreków spalonych.
Płoną jeziora,
sto wód się pali
i tysiąc dróg!
Z rozszalałego wnętrza ziemi
ogniem buchają wulkany,
gwiazd miliony tną błyskawicami
spieniony potop płomieni
i z hukiem
giną w czeluściach czerwonych...
Boże!
Czemu mnie karzesz?
W tych rozżarzonych stanąłeś przestworzach,
cały spłomienion, większy niż przestwory,
z krzyżem ogromnym, płomienistym w dłoni
i rozżagwiony rzucasz na mnie świat...
Karz mnie!
Bom-ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu
i prześladowan był przez grzech — do końca!
Moja to wina!
Bo oto moja nieprawość,
mnoga, jak iskry tych ogni,
przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!



Ojcam się wyparł,
a kiedy zamknął powieki,
krzyża-m na jego grobie nie postawił,
bom go nie prosił o garść tego błota,
o nędzny żywot ten!
Moja to wina, moja wielka wina!
Matkęm wypędził z domu, by nie jadła
strawy, porwanej większym, niż ja, tchórzom —
a wypędziłem ją w czas, gdy nad ziemią
przebiegał tuman nawałnic,
aby jej w drodze, w bezludnem pustkowiu,
oczy wyżarły błyskawice,
a dąb, walący się od gromu,
aby ją przygniótł swą kłodą na wieczność!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oślepłą siostrę spotkawszy żebrzącą·
u wrót wspaniałej katedry,
nie czułem tyle odwagi,
aby się dotknąć jej ręki wyschniętej
i na jej krwawe wskazując orbity,
głupim powiedzieć lwom i pustym lwicom:
Idźcie! mnie łaski waszej nie potrzeba —
to siostra moja! przy niej mi pozostać!
Moja to wina, moja wielka wina!
Psa, który zaszedł mi drogę
i z głodu zęby wyszczerzył
i miłosierne wlepił we mnie ślepie,



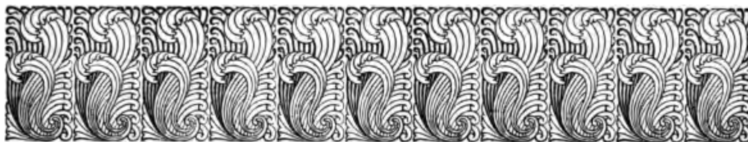
kopnąłem nogą,
aż ze skowytem padł pod moim płotem!
Robaka-m zdeptał —
tysiące owadów
miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem,
ażeby duszę znudzoną
orzeźwić wschodem lub zachodem słońca.
A pnąc się w górę, ku rzeźbionym grotom,
ku tajemniczym snom stalaktytowym,
albo ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu,
kazałem ścinać pachołkom
gałęzie smreków młodziutkich,
gdyż iglicami drażniły mi skronie...
Zabiłem brata,
bo mi się worał w miedzę
i naręcz owsa mi wyżął
dla swego konia —
moja to wina, moja wielka wina!
Chęć mi raz przyszła obłędna,
ażeby kopać dla siebie mogiłę,
bo mi się życie stało cmentarzyskiem,
i w tę mogiłę wtrąciłem bliźniego,
tak, że oszalał między umarłymi!
Moja to wina!
Uwiodłem żonę przyjaciela —
moja to wina!



Pod próg sąsiada kazałem podrzucić
dziecko, zrodzone z mego rozbestwienia.
A raz to grzech mi tak zaciemnił oczy,
żem po omacku szedł w przepastną głębię
strasznego lasu,
i jadowite wyszukawszy ziele,
świat niem stłumiłem w poczęciu.
Moja to wina, moja wielka wina!
Nie karz mnie, Boże, według moich zbrodni!
W tej gniewu Twego straszliwej godzinie
świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!
Wielka jest moc Twa i wielka potęga,
lecz czyjaż dobroć Twej dobroci sięga?!...
Rozpalonemi namiętnością dłońmi
umiałem skazić niewinną wstydliwość,
nim się w słoneczne rozwinęła kwiecie.
Podstępnie owoc zerwałem dziewiczy,
słowem, któremu dała moc obłuda,
wielbiąc zbawienie z miłości,
a sobie-m szeptał, jak złodziej, co w każdym
widzi złodzieja: rwij, nim przyjdzie inny!
Za grosz kupionej rozpuście
dałem się wlec po kałużach,
albo gdy przesyt wypił ze mnie krew,
jak widmo-m stawał u bram lupanaru
i źrenicami, zmienionemi w szkło,
przez które ognia przezierał ostatek,



zazdrośniem śledził takich, jak ja — trupów,
by ich rozkoszą zwątloną
podżegać w myśli mą rozkosz przymarłą.
A nieraz podłość tak mi żarła duszę,
że chcąc wypełnić jej pustkę,
małom nie szeptał błądzącym przechodniom:
Nie temi drzwiami: tamte wam poradzę.
Moja to wina, moja wielka wina!
Związan ślubami,
które mi jarzmem się stały,
a sił nie mając otwarcie
zrzucić ze siebie tych błazeńskich dzwonków
arcykapłana domowych ołtarzy
i iść, gdzie w słońcu południa,
śród woniejących ogrodów
krwawo się złoci zakazane drzewo,
dawałem w duszy przystęp takim szeptom:
Niechaj-że Szatan się zjawi
i niech uwikła w sieć swojej pokusy
tę, co mi ongi była mocą szczęścia,
a dziś mnie dusi swą cnotą!
Wówczas jej krzyknę: podłaś! i już czysty
w nędznem sumieniu pójdę spełnić zdradę!
Moja to wina! moja wielka wina!
Oto jest miłość! oto jest to źródło,
z którego bije szlachetność!
Moja to wina, moja wielka wina!



Panie!
Wszystkie ja grzechy wziąłem na swe barki,
bomci ja człowiek, bom urodzon z bolu,
bo żal i rozpacz i przestrach
i wyczerpanie i siła
są przyczynami mojego istnienia...
Spłonąłem chucią do mej własnej krwi,
do matki mojej i do córki mej!
A w noc tajemniczą,
kiedy przed moim pałacem,
wzniesionym z mgławych majaków,
przedziwne kwiaty o zbielałych oczach
rozrzechotanej Meduzy
do jakichś strasznych rozmiarów
w mżach wyrastały miesięcznych —
kiedy się księżyc skradał do mych komnat
i kładł na łoże mego wyczerpania,
wonczas mnie ze snu budziła lubieżna,
sprowadzająca warg bezwładne drgawki
i źrenic błędną gorączkę,
potworna żądza ku Twemu — zwierzęciu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Oto jest miłość! Oto jest krynica,
z której wypływa zwycięstwo nad piekłem!
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Karz mnie!



W tym rozżagwionym przestworze
masz krzyż z płomieni, większy, niż ten przestwór,
więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie! ongi przed początkiem,
kiedyś się zmuszał, by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe ślepe przerażenie!
Kiedyś ze swego spokoju
i swej miłości
wydzielał słońca i gwiazdy,
by rozbijały się w swoich elipsach,
aby się stało to, co nas pożera!
Karz mnie, człowieka, co krąży po świecie
z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie.
Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy,
z którego lecą skry na ludzkie niwy,
a pomsty Twojej płomienna potęga
od pokolenia w pokolenie sięga.
Krew nam wysusza i pożera kości
wieczysta wszechmoc Twej zapalczywości —
żadna się przed nią groza nie ostała:
Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała
na wieki wieków Amen, Amen, Amen!
Panie!
Kłamałem!



Zawiść i zadrość tuliły się do mnie
zżółkłemi łony i nagością swoją
opanowawszy mą duszę,
kazały zyzem patrzeć mi na sławę
i na bogactwo rodzonego brata.
Kradłem —
w kościele Twoim rozbiłem skarbonę!
Moja to wina, moja wielka wina!
A raz w czarownem, wielkiem, ludnem mieście,
spiesząc ku Śmierci, która czeka na mnie,
chciwie wstrzymałem krok przed stosem złota:
i błyskawicą, która idzie z Ciebie —
moja to wina, moja wielka wina!
myśl mi przebiegła haniebna:
tak! wymordować czcicieli Molocha
i potem — zająć ich miejsce!
Panie!
Fałszywym byłem prorokiem
i nie umiałem powstrzymać bluźnierstwa
przeciwko Tobie, tak, jak dzisiaj bluźnię!
Krzywdy-m ja bratu nie przebaczył,
choć sam krzywdziłem — jak oszust!
Pogardę niosłem tłumowi,
jego zczerniałym, spracowanym dłoniom,
jego łachmanom, przesyconym potem!
Ornat na siebie kładłem i koronę
i wziąwszy jabłko do ręki i berło,



kazałem klękać przed swymi rozkazy,
jakby nie było Twego majestatu!
Moja to wina, moja wielka wina!
Okręty słałem na spienione morza,
a w bitwach, w mojem wszczynanych imieniu,
tysiące kładły się we krwi swej własnej,
a wszak Ty jeden masz prawo
na życie człeka wydawać wyroki!...
Moja to wina, moja wielka wina!
Karz mnie!
Bom ci ja człowiek, skazany na karę,
bo dzień mój przygasa,
a zorza jego się krwawi
i świat się mój pali!
Bo dawno już przeszedł czas —
moja to wina, moja wielka wina, —
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym
ani zabójczą tęsknicą
ani kamiennem, ślepem przerażeniem...

A graj-że mi, graj!...
Jarzębiny się rumienią —
suchy piasek się podnosi —
A graj-że mi, graj!...



On był i myśmy byli przed początkiem,
zanim się stało to, co nas pożera...

Błogosławioną niech będzie ta chwila,
kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy!
Kiedy na wieki — na wieki
gaśnie jej dzień — — —

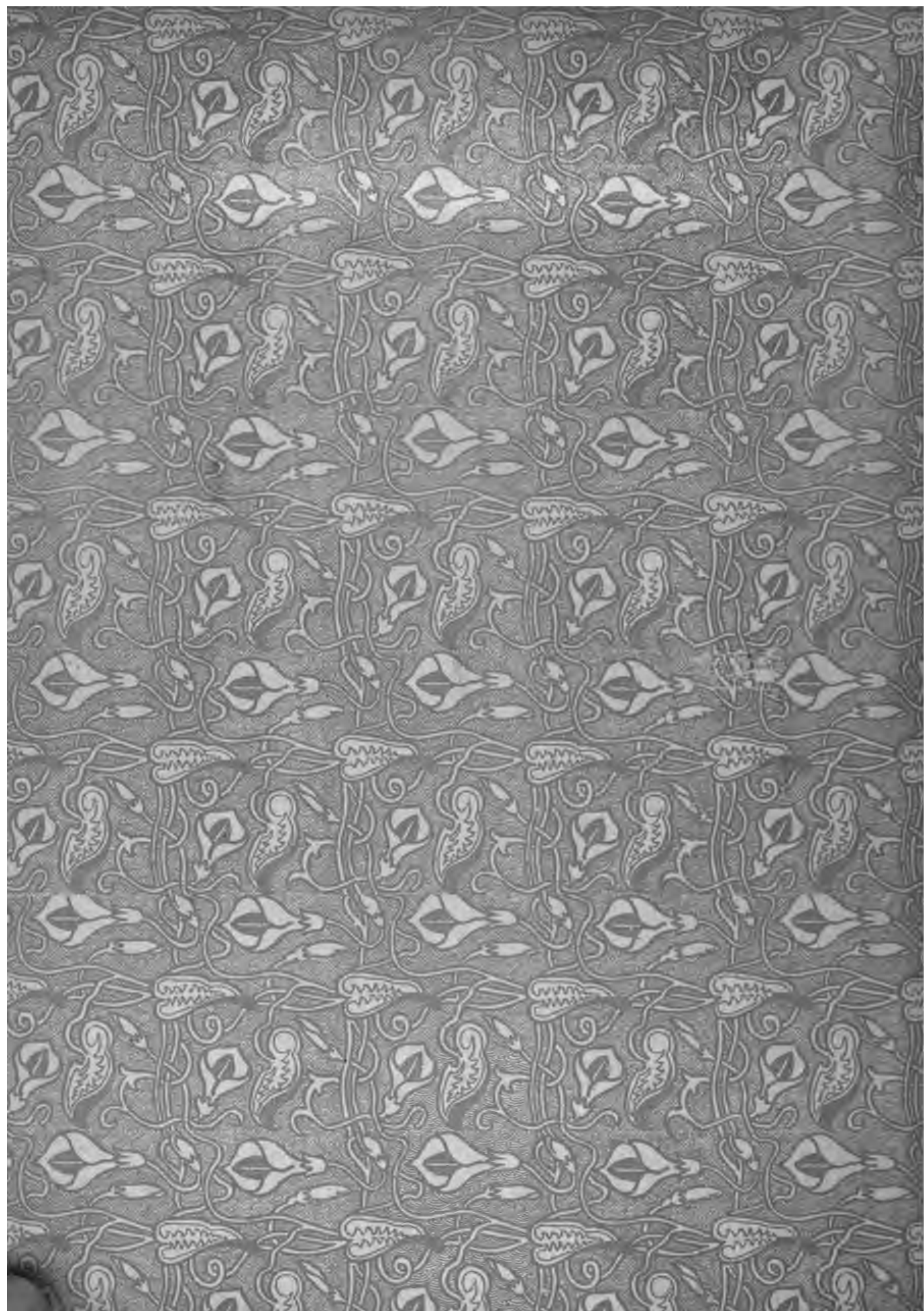


SPIS RZECZY.



Dies irae 1
Salome 23
Święty Boże Święty Mocny 45
Moja pieśń wieczorna 69

Druk ukończono 21 sierpnia 1901 r.



543

